

Stefan Żeromski

# Powieść o udułym walgierzu

**Zixo** Reader

## Spis treści

Rozdział I.....	3
Rozdział II.....	10
Rozdział III.....	14
Rozdział IV.....	20
Rozdział V.....	23
Rozdział VI.....	26
Rozdział VII.....	27
Rozdział VIII.....	30
Rozdział IX.....	32
Rozdział X.....	33
Rozdział XI.....	34
Rozdział XII.....	38

## Rozdział I

Na progu wyniosłym morza, gdzie sosny rumiane cień błękitnawy na jasne piaski rzucają — oparły się wozy królewskie. Ustały zgonione konie, zarżnęły się w piasku skrzypiące koła.

Każę król rozbić szkarłatny namiot swój. Zwisła ciężka, złota frędzla zasłony, na wiotki piasek opadła. A przed zasłoną, na żerdzi głęboko wkopanej szeleści plemienna stanica, królów wojenny proporzec. Czterdzieści wnet stanęło stołów. Siadła pospołu drużyna bojowa. Siadł i najemnych gości tłum: Pieczeniagi i Waregi, Czechy i Morawy, za złoto żołądu zdradzające swój ród Nemety, Sasy, Bawary.

Na siedzisku wyniosłym rozparł się król. Szkarłat rodowy Piastowski obleka jego tron i ziemię szeroko — daleko. Po prawicy i po lewicy ma król wiciądze swe, ojczyce ziemi.

Cieszy się król.

Pierwszy to raz od tylu czasów wielki roztruchan podnosi. Bezcenne migają kamionce, lśni złoto, gdy do ust niesie wino z za gór, z za światów.

Na cześć drużyny pije. Krzyczy mu w ląd i w morze drużyna wieczną cześć.

Haw -białe morze. Pod sinym, dalekim niebem chluszcze bryzgami fal, na niskie piaski dumne wełny wyrzuca.

Władacz wciąga nozdrzami wiater słony, w siwą dalekość morskich potoków oczy zanurza.

— Na twoją cześć, głębokie morze! Na twoją wieczną sławę, święta, jedyna moja! — woła w płaszczyznę ziemi.

— Pieśni! — wzywa drużyna.

Wyjdzie z tłumy, gdzie czeladnicy, pacholy i posługacze wojenni, spomiędzy chorągwi chłopskich — starców kudłatych zgraja. Siwy tłum. Zasiądą w okrąg. Nastroją liry.

Śpiewają panu słowiańską, przedwieczną, wojnopamiętną pieśń. A pieśń jasnego pana za nogi obłapia, czołem mu bije.

A pieśń go woła...

Wsparł na mieczu łokieć, na pięści wielką głowę, niewyciężony. Obrócił jasne oczy na dziady grające. Słucha. Słucha, jako ta pieśń uderza w krzyk, pomstą pomstuje. Dym kłębam siwymi, ogień drżącymi jęzory wybucha z niej. Ku niemu leci, ku jego sercu z żelaza, ku piersiom szlochającym tajemnie pod kolczą zbroją, co płaczu, jako żyw, nie zaznały. Krzemienie proc furczą, cięciwy w pieśni tej brzęczą i brzechwy lotnych strzał świszczą. Słysząc w niej płacz śmiertelny dzieciąt bezsilnych i dziewczek ledwie podrosłych. Hańba z niej woła ojczyców za siwe kudły wleczonych ze siół przez długie mosty w kajdany żelazne, w plenicę.

Czarna się dymi krew, co wypłynęła bez pomsty z żył mocnych chłopów nieznanymi broniami pobitych w paliszczach, kamienną ongi ciosanych siekierą, w warownych grodach

pośrodku bagien i w tynach nad słodkimi wodami, gdy się z najeżdżcą piersią gołą o jego żelazną pierś siepali.

Wzdycha król. Ręką szarpie głównię mieczową. Krwawymi oczyma, w których ogień bucha i dym się kłębi, wodzi po ludziach.

Nagle się ucza przerwie. Jeden drugiego pyta: "Czemuż to władacz sposepniał?"

Postrzegł król ich milczenie i skinął ręką na grajki:

— Milczeć!

Porwie w lewą dłoń czarę, a prawą uściśnie jelca strasznego koncerza. Wstaje olbrzymi.

Ciało jego obleczone od stóp do głów w kolczugi sieć stalową. Kuta koszula pancerna lśni na ramionach, a płach jej mieni się i drży na wielkich piersiach. Stolica pod stopą żelazną trzeszczy. A w pięści zwartej sieczysty brzeszczot raz w raz szczęka.

I słowo wieszczę pada w tłum:

— Słuchajta!

Wodze, namiestnicy i wy, chorągwie! Na śmierć piję Sasom, którzy y na nasze ziemie przedwieczne idą. Aby im ich, póki mego żywota, tym mieczem i waszym mieczem wyrąbał, zdradzieckim żegadłem wyżgał, żeleżcem grotów przebódł, garścią zemściwą po ciemku wydusił. Ziemią, nagłym pożarów zagonem wiecznie za nimi chodźmy, rzekami będziewa tajemnie brodzić, w morze na łodziach zbiegniemy i na wałach bezdennych pod próg uśpiony podpłyniem. Złupimy miasta i sioła, spalimy siedliska do ostatniej przyciesi...

Okrzyk:

— Na śmierć Sasom!

— To wam zapowiadam wszem wobec: nie pozwolę grzebać trupów pobitych, gdziekolwiek Niemców dopadnę — w kraju Dziadoszan czy na piaskach lutyckich. Niechaj z nich korazuny i gugelhauby, nabiodra i plechy nagolenne łupi ciura, trupy ich niechaj wilcy roznoszą po puszczech, sępy po skał grzebieniach. Niechaj nagi między zasiekami leśnymi leży pfałcgraf Burkhard i margraf Gero.

Nie zazna czci ani rozkoszy spoczynku w ziemi, która jest moja, Frydrych, mąż żelazny, Widredy i graf Folkmar z dwiestą zwałonych rycerzy! Niech gniją u wierzchu bagna w potokach krwawych i w pyłe! Na wieczną rzeczy pamiętkę zostaną niepożrebrani Adelhajd, Ira, Thietmar, Doda i Ludolf. Tak rozkazuję. A kto by się woli mojej sprzeciwił, przez Boga wiecznie żywego — biada mu!

Wołanie:

— Biada mu!

A skoro siadł, każe czeladnikom odpasać sprzączki skórzanych tł umoków i wywalić przed bracią wojenną zgarniony za Odrą łup. Sam rzuca w ciżbę głębokie czary i kruże ze złota, rogi i kielichy, sadzone parangonami bezcennej wody, dzbany z kryształu przejrzystego jak woda, greckie amfory i szkutały niemieckich majstrów, cudnie w metalu kowane. Między srogie zastępy w krzywoślepą hordę Pieczeniałów każe nieść w darze italskie arbalety, cisowe kusze, zaciągane lewarem z żelaza, hiszpańskie tarcze i krótkie piki. Pieszym chorągwiom chłopów, odzianym jeno w serdaki a czuje, w słyki z rogami i kły uczynione z obłupionych łbów dzików i turów, wilków i lisów, uzbrojonym jeno w oszczepy z osękami, w rogaciny, w kamienne oksze na długich styliskach a wielkie na chłopa pawęże, szciodrze rozdaje czekany, barty i obuchy z żelaza, cepy kolczaste, smycze i arkany z surowego rzemienia. Konnym swym wojom każe nieść wielkie, obosieczne koncerze, radość serca męskiego, i cudne kapaliny z połyskliwego żelaza, miedziane nagłowne myśnice, czepki kolczate, rękawice, piachy przedsobne i zasobne pancierzów. Rotom drabów najemnych sypie bez liku, garściami, srebro i złoto denarów kupieckich.

A gdy tak szciodrze król wręcza dary każdemu ze swych rycerzy, każdemu ze swych sług, do ostatniego pacholęcia, słyhać od czat dalekich wrzaskliwe hasło rogu. Wszystkie się oczy w tę stronę zwróciły i jako czujne ogary pomknęły w las. Oto wyszedł z brodów orszak konny pod czatowniczą strażą i ku namiotowi pańskiemu podąża. Przysłonił wódz dłonią oczy i wilcze miota spojrzenie.

Aż z nagle wstał. Ciężko po stopniach idzie z tronu. Zmierzały wprost ku królewskiemu stołkowi wielkie rycerze niemieckie, zakute w żelazo. Forgi wielobarwnych piór jakoby obłoki na czubach krzesanic chwiały się na wierzchołkach obłych szyszaków. Nieustraszone ślepia patrzyły zuchwale z widzierów hełmowych. Każdy miał prawicę żelazną na klindze miecza, a lewicą ścisnął rękojeść mizerykordii. Ze środka ich, jak gdyby z zamczystego łona zastępu, wyszedł człowiek chudy, z kaprawymi oczyma, z twarzą wykrzywioną od bóleści. Nogi miał bose i nagie aż do kolan, ręce nagie aż do ramienia. A nagość jego kości kryła kapa wytarta, z nędznego sukna żałoby uszyta. Pod nią wisiały strzępy mniszego habitu. Na głowie miał czapkę biskupią, w ręku biskupią krzywulę. Ujrzawszy w oddali majestat stanął skulony, stopa przy stopie, kolano przy kolanie. Podniósł rękę i pokazał w niej krzyż.

Wnet błada trwoga skupiła dookoła wodza drużynę. Opat -doradca przysunął się do pańskiego boku i szepce:

— Panie! ... Bacz... Święty człowiek idzie przeciwko tobie.

— Tenże to z Myśny?

— On. Patrz, płacze.

— Czegoż płacze?

— Płaczek on Boży. Kaprawy, patrz, z płakania. Bosy. Bez koszuli i bez nogawic zimie i lecie. A zamiast łoża pień ma bukowy, który był sobie wydłubał w tajemnicy przed ludźmi. A obwiedziony jest pień-łoże płotem z tarniny, żeby go kolce wrywały ze snu. Głowę zaś, panie, układa na poduszce z badylów róży dzikiej. Za dnia, gdy nań nie patrzy nikt, wdziewa

na głowę mitrę biskupią z pnia drzewnego uciosaną, na której ze wszech stron ciężkie zawiesza kamienie.

— Czemuż to czyni, powiedz?

— Zęby go, panie, biły po głowie, gdyby się o sprawach żywota ziemskiego zadumał. Patrz, wielki królu — na tobie zbroja złożona z łusek stalowych na skórę nieprzebitą naszytych, pod stopą twoją szkarłat bezcenny. A na nim gałgan zetlały! Wiedz o tym, panie. Zanim posłuszny woli cesarskiej po stopniach stolicy biskupiej poszedł, gdy w puszczy, w bratnim eremie przebywał, widzieli bracia na zemdlonym od twardej pracy, że przepasany jest łańcuchem żelaznym z kolcami, który mu w biodra wrósł, a skórę brzucha przetarł i w otwartych wieczyście ranach gołych wnętrzości dotykał.

Duma król. Z głębi potężnych piersi wzdycha. Aż oto woła ku biskupowi:

— Wydam ci ciała poległych w boju, jeno tu nie płacz przede mną.

Szepce opat do ucha monarchy:

— Panie, ach, panie! ...

Patrzy król pod przyłbice, w zawarte maski onego towarzyszków lwimi oczyma. W oczy ich patrzy ze straszliwym uśmiechem, jak między żelazy goreją.

— Wydam ci ciała poległych; z chwałą je chowaj w tej ziemi.

Pomruk złowrogi w drużynie. Spinają sprzączki żupie pancernych. Mocno przypasują obojczyki i blachownice, zarekawia i fartuchy kolczate. Nisko spuszcza przyłbice, żeby ocienić lica nanośnikami. Trzask słyhać mieczów i pobrzęk cięciw. Pomruk głośniejszy w drużynie. Gwar.

Schyła się biskup, podnosi krzyż i błogosławi nim króla.

Postąpił król ku biskupowi. Ujął dłoń i powiódł w pokorze bosego ku złotej zasłonie namiotu. Orszak niemiecki za królem. A gdy komornik spuścił za nimi zasłonę, rozejdzie się w obóz drużyna z gwarem złowrogim, z szeptem zemściwym. Zostali jeno na placu czterej.

Stoją w hełmach zawartych. Jeden ma kamail na głowie, szyszak z nanośnikiem spadającym aż do brody, drugi i trzeci mają lambrekiny frankońskie. Paize dzierżą na lewym ramieniu. Na wielkich mieczach się wsparli. Cierpliwie stoją. Długo czekają milczący. Aż ów na czele, którego głowę okrywa olbrzymi gocki szłom, Walgierz o dłoniach potężnych, o udach z żelaza a kolanach z miedzi, uderzy głośno mieczem w puklerz.

Raz, drugi.

Cisza.

Uderzy Walgierz po wtóre, z łoskotem.

Rozdzieliła się złota zasłona. Komornik.

Uderzy Walgierz Udały mieczem w puklerz po trzeciej.

Rozdzieliła się złota zasłona.

Król.

Stoi między zasłonami z głową odkrytą, jasnowłosy. Ręka jego za pasem. W oczach zaduma. Patrzy ku czterem.

— Udały... -cicho wyszeptą. Milczą rycerze.

— Słuchasz, patrzysz, mierzysz chytrymi ślepiami me sprawy. Wciąż mrok na twojej twarzy, a chmura na twoim czole.

— Wciąż chmura na moim sercu!

— Wciąż cię pycha na rumaku oszalałym unosi. Wciąż ci strzyga o jednym zamku dalekim szepce po nocach.

— Dusza się moja wydziera do Tyńca, praojcowego dworzyszczą, do stolicy mej ziemi.

— Milcz o stolicy twej ziemi!

— Dawno, dawno już milczę. Nazbyt dawno już milczę.

— Bylebyś nigdy nie zaczął przemawiać o tym, co na wieki minęło. Goście w moim obozie...

— Dziś będę mówił.

— Nie mów dziś nic, koniędzu!

— Dziś będę mówił pierwszy raz i ostatni.

— Pilnujże dobrze głowy!

— Oto me słowo: idę ze stanu z towarzyszami. Niech słyszą Niemce, że z obozu twojego wychodzę! W dziedzinę moją, w żupy wiślańskie powracam. Przed chwilą piłeś, wodzu, w dłonie nasze puchar rycerski na zgubę rodu Sasów. Zaprzysięgałeś zemstę żywym i trupom. A ledwie się pokazał bosy wróż, już się przeląkł haniebnie.

— Sądziś moje uczynki! Ja wasz jedyny sędzia i wódz! Ja życia i śmierci pan! Śmieje się hardo Walgierz Udały. Spojrzą po sobie z żelaznych oknisk wściekłe oczy czterech rycerzy. Milczą żelazne ich usta.

Król rozkazuje:

— Zdejmijcie zbroje. Odpaszcie pasy. Złóżcie na ziemi paize, a na nich miecze i włócznie w krzyż.

Spojrzą po sobie po wtóre z żelaznych jam okrutne oczy. Milczą żelazne usta. Rozkaz królewski nie spełniony.

Szarpie król pas. Porwie miecz. Klasnął w ręce.

Biegnie ku niemu komorzych tłum.

Rozkazał:

— Trąbić!

Zawrzasną rogi. Biegnie rycerstwo. Trzepie się ręka królewska ze stopni tronu nad głowami zuchwałej czwórky.

Rozkazał:

— Sąd! Szarpajcie ich w sztuki mieczami. Oburącz!

Walcie w zdradzieckie piersi obuchy młotów!

Rozruch i zgiełk w drużynie. A porwać za koncerz, za młot nikt nie ma siły.

Nie zadrzał Walgierz Udały i nie uchylił głowy ni jeden z towarzyszków: Mściw ani Wydrzyoko, ni Nosal wielkoramienny. Stali czterej przeciwko wojsku. Wokoło żelazny mur rycerskich ludzi. Na silnych koniach kiryśnicy w zbroi zupełnej. Paize na ich ramieniu rozsiały wszechmocną zgrozę, a drzewa włóczni pod pachami — czyhają.

Daleko stanęły seciny pieszych chorągwi. Jasno srebrzone pawęże, wielkie na chłopa, stworzyły równy, śmiercią błyszczący tyn, co idzie daleko, daleko, aż do fal pianistych morza.

Glewie dobyte z pochwy czeka na rozkaz, na cios. W słońcu glewie połyska. Napięte są cięciwy samostrzałów.

I rzekł w koło wojenne i w ulicę rycerską gromowym głosem Walgierz Udały:

— Drużyno polska, drużyno bojowa! Schodziłem z tobą, drużyno bojowa, ziemie saskie i ziemie lutyckie. Palilem z tobą zamczyska i miasta. Tym oto mieczem rąbałem za dnia w boju męża w żelazo okute. Tą oto dałą przeszywałem po nocy serca śpiących. A teraz, słuchaj, drużyno bojowa, szarpie mię słowy król, który me ziemie w szpony porwał. Szarpie mię w sztuki jakoby mieczem, przeszywa uśmiechy piersi moje jakoby puinałem. Znieważa król mnie, wiślańskiego koniędza, władcę na Tyńcu i ponad całym światem rzeczonym, od niezmiernych gór po tyse góry, pana wszech puszczy jodłowych aż po mazowszańskich piasków sosny. Bije król słowem twardszym od obucha okszy w piersi Nosal z za Dunajca, Wydrzyoka z za Pilicy i Mściwa z puszczy, gdzie się poczyna w ciemnościach bożych Czarna Nida.

Słuchaj mię, królu polski! Mnie, wiślańskiego władacza...



— Nie słucham cię, rycerzu Udały. Nie znam twej władzy i zakazuję ci zwać się panem świata wodnego, ziemi świętej, przez którą biała Wisła idzie. Zakazuję ci zwać się władcą puszczy. Obie oce moje sięgają za łyse i za niezmierzone góry, a ręce moje sięgają w dalekie morawy. Moje są dunaje — wody bystre — głębokie, co ze śniegów się rodzą, i moje są strumienie, co z puszczy jodłowej płyną niskimi łąkami. Wziąłem ziemię, które swymi nazywasz, żelazną dłońią. Jam jest jedyny ich odziedziciel. Wydarłem cię z morawskiej pięści, ja, wolny i niezwalczony. A przygarnąłem cię pod mój proporzec, żebyś nie leżał u cudzego progu i żebyś chodaka krzywoślepej dziczy węgierskiej nie całował. Uczyniłem cię rycerzem polskim, pozwałem cię i powiodłem na zwycięstwa przeciwko Niemcom, którzy są wrogowie na wieki wieków mego i twego plemienia. Ziemiom twym kazałem wrosnąć na wieki w moje ziemie. Siłom twym kazałem wrosnąć w moje siły, w moje ręce żelazne, w głos mego rogu, w połysk mego pancerza. Moje siły są z waszych pancerzów i szczytów, pióra mego szyszaka wzdyma wicher waszego krzyku przed bitwą. Moje siły nie są moje i nie są wasze, jeno są nasze. A siły nasze zrosły się w naszą rzecz wiekuistą, rzecz pospolitą... Woła zuchwale Wal gierz Udały:

— Królu polski! wychodzę z twojego koła, gdyż nie chcę służyć pod twoją stanicą. Jestem ci równy i władzy twojej już nie chcę dźwigać. Dotąd dźwigałem, a teraz nie chcę. Wracam na zamek, gdzie ojciec mój od początku czasów władał. Ze mną Wydrzyoko, Nosal i Mściw.

Każ mię porąbać mieczami, walić w me piersi młoty, bić w moje oczy z kusz. Nie chcę już Niemców wojować pospołu z tobą, któryś jest twardy samowładca, któryś jest straszny najeźdźca, a bosego się Niemców wróżą boisz. Nie chcę z tobą wojować, bo mi się wojować z tobą nie podoba! Jak grom spada z wysokości słowo królewskie:

— Znam ja cię, władco drewnianego zamczyska, hardy ojcowicu nędznej dziedziny! Widzę na wylot twe myśli. Chodziłeś pod moją sprawą i w cieniu mego proporca na Sasy i na lutyckie sioła. Łakome twoje ręce czerpały moje mienie, a oczy zdradzieckie wypatrywały moc moją. A teraz chcesz moc moją w swoim zawrzeć zamczysku, za tynem ją przycząić i przeciwko mojej pięści wykręcić. 'Wziąłem cię za gardziel tą pięścią, gdyś był w broni skórzanej, którą ci z turze j skóry ciura uszył, a kowal żelaznymi nabił gwoździami. Teraz odziany jesteś kolczugą z niemieckiej stali, którą z ramienia swego zwlokłem i tobem z łaski dał. Ale przetnie miecz mój łuski...

— Na głowie mojej szłom pradziadów!

— A ty, Mściw! Ty, Wydrzyoko! Ty, Nosal! Dałem wam miasto wilczych szłyków zbroje rycerskie. Otworzę ja te zbroje na nowo! Znam ja nienasycone wasze gardziele! Znam piersi pełne szalu kłótni, a ślepie chciwe jak u sępów!

Ponuro goreją oczy towarzyszków Walgierza. Ręce ich na główkach mieczów, na toporzyskach złożone — czekają. Zawarte milczą usta.

## Rozdział II

Uciekł w noc ciemną Walgierz Udały z obozowiska polskiego króla. Z nim Wydrzyko towarzysz, z nim Nosał, a także Mściw. Puściła ich straż dodana (rzekomo zmorzona snem), a otworzyła im między hufcami drogę wolną drużyna bojowa (rzekomo otumaniona czarami).

Po mostach zrazu mknęli zbiegowie drewnianych, polską sztuką rzuconych na błota i sitowia, na trzciny, łąki i bagno. Gdy wyszli z obszaru wodzisk Kaszubskiego Pojezierza, w pierwszych na suszy siedliskach wyprowadzili zza zawór rosłe wierzchowe konie. Odtąd już dniami — nocami pędzili w cwał. Ku Ostrowcowi łysych gór, z mazowszańskich równin wyrastającemu, była ich droga. Przeszyli leśne sosnowe puszcze, suche bory i świąty piachów, minęli widnie jeziorne, przebrnęli w bród słoneczne rzeki i przesadzili strumienie. Aż ujrzał Mściw i pokazał daleko sine pasma na niebie. Wparli żeleźca w boki biegunów. Dopadli w skok jodłowych kniej. O ciemnej nocy weszli w nie szlakiem-bezdrożem. Kamień rudy, od wody stoczony z wysoka, zgrzytał pod kpńskim kopytem w suchym łożysku ruczajka, kiedy się darli pod górę. Drzewa wielkolistne, buki i klony, dęby i jarząby, stanęły kołem. Kosmate, czarne ręce jodłowe przywitały strudzone ciała i zgonione dusze zbiegów.

— Teraz -rzecze jeden -już my na wiślańskiej, na ziemi. Niechże ta naju szuka polski król.

— Ha-ha!

— Niechże ta szuka pilnie.

Zstąpili nad ranem w nizinę, ku łąkom zawilgłym od niecieczy a utajonym w jodłowym pustkowiu. Rumiany kwiat górski przed oczyma ich po nadrzeczu strumienia. Zapach niewysłowiony płynie powietrzem. Ptaszcęcy śpiew...

Ujrzą z leśnego pobrzeża dolinę rozległą między puszciami. Góry nad nią z północnej strony wielobarwnym lasem odziane, góry z południa. Zachodnie wiatry odgania od doliny niskiej zasłona, jakoby sworzeń górski, a ode wschodu czernieje wyniosła macierz łańcuchów, wszystka w tumanie, we mgle.

Stanęli mężowie w strzemionach, nakryli dłońmi oczy od blasku ранego słońca, co się w wodach dalekich nurzało. Patrzą w dół. Góry przed nimi strome, góry okrągłe i pochyłe. Cudne błamy lasów, bezgraniczny ciąg puszczy, jakoby dym z ziemi wybuchły, płynie z jednego szczytu na drugi. Tam i sam osłoniąta jest ziemia jeno pawłką brzozowych bugajów, co zstępują ku dolinie uroczej tworząc widok piękności nieporównanej. A jeśli ma być widok jej przyrównany, to jedynie do widoku piękności piersi dziewiczych, gdy się przed stęsknionymi oczyma nagle odsłonią. Aż zakołyszą się od szlochania żelazne bary Mściwowe. Upadł w szeroką dolinę olbrzymi jego krzyk:

— Dolino moja... Da-dana! ... Spyta Nosał:

— Powiadaj, bracie, miana gór, boć miejsce to nama obce.

— Tam, widzisz, bracie, macierz tych gór, Łysica, w której ciemności bogi mieszkają i skąd czarna woda, Nida, płynie. A idzie woda Nida stela aż do Wiślice, gdzie koniądz Wiślimir włada.

— Koniądz Wiślimir... — śmieje się cicho Walgierz Udały.

— Tamta, widzisz, bracie, siostrzyca — to Strawczana Góra, a za nią idzie Bukowa, a za nią idzie Klonowa. Nad siołem moim włódczym i nad jeziorzyskiem wielka i święta góra, którą czcili ojcowie, miejsc tych osadźcę -Radgostowa. Strumienie tam płyną z wąwozów leśnych dołami niskimi w kalinach, w cierniach, w głogach. Słońce ranne szuka tam gwaru wód w głębokich trawach. A w środku owo, co lśni pod słońcem — woda moja.

— Teraz — rzecze Nosal — domowy próg...

— Teraz -rzecze Wydrzyoko — zwleciesz, człeku, z ramion, z bioder a z nóg żelazne blachy, zawieszisz na kołku ciężki szczyt, odpaszesz długi miecz od siodła i drzewo sulicy w kącie postawisz.

— Teraz się — rzecze Mściw — obleciesz, bracie, w ochopnię domową albo się w kaftan skórzany odziejiesz i pójdziesz w pachnący las na łów swobodny, na wesoły...

— Albo się w komorze zamkniesz żoninej...

— Każdy o dziedzinę się swoją przecie zatroska, co na łasce był e czyjej została, gdy my światami gonili, żeby w Sasa rogacinę ciskać, mieczem go w sztuki rąbać.

— Ej, dzieci! Podrosły... świat! Jako też... dzieci? ... Jako też to ze świergoleniem na kolana z żelaza rozzute leżć będą, a wieszać się po ramionach, a włóczyć z kąta w kąt koncerz, co krwi tyle wylał...

Stał Mściwa stary dom, gniazdo pograniczne ziemi, na kamienistym wzgóreczku, przy brzegu wielkiego stawiska. Cztery wielowłeczne lipy osłaniały jego czarny gontowy dach. A z lewej strony skłaniała się ku ścianom przychylnymi konary wielka i bardzo stara grusza.

Pień jej był rozsadzony, spękany. Widły konarów osnute małymi liśćmi. W dole ogrodu wyrastał modrzew osobny, uroczy, jasny. Przy drodze dwie wierzby splecione korzeniami, dwa obumarłe kadłuby, dwa puste wewnątrz korzyska, choć toczyły od lat z trzewiów swoich rude próchno na ziemię, to przecie ze ściętych czubów puszczały strzeliste badyle, żeby zaś chłopcom na wiosnę nie zabrakło piszczałek. Nad brzegiem wody wznosiły się niezmierne pnie bez gałęzi. To czarne olchy patrzyły wiecznie w przezrystą wodę. Wielka woda leżała w miękkości pobrzeżnego sitowia, w zielonym łożu rozkoszy, które sama sobie stworzyła. Ku niej to biegły z gór parowy i dolinki, o których mówił Mściw. Smugi wysłane były cudnością traw, a w nich szemrały ciekoty leśnych strumieni i łąkowych poników. Tam to nie płoszone ptactwo śpiewało dokoła wiosennych gniazd... Białe wodne lilie otwierały to tu, to tam kielichy na płani jeziornej. Wyniosłe pędy sitowisk schylały się nad ciemnym nurtem rzeki, która w płaszczyznę stawiska wlewała bystre wody. Błękitne ważki na przezroczystych skrzydłach snuły się nad tą ruchomą, wiecznie żywą, nieustanną wodą. Zdyszane od polotów

nad głębiami, padały nadobnice piersiami na obły badyl sitowia i bujały pospołu z nim, pracą rannego wiatru kołysane. Mgły wstawały z topieli.

Mściw stanął pierwszy nad brzegiem. Zapatrzył się, zadumał... Odpasał rzemień szyszaka i odkrył kudłatą głowę. Ponurym spojrzeniem ogarnął towarzysze. Wzniósł dłoń na znak, żeby się żaden nie ruszał. Szepnął z pogańską trwogą:

— Cichajta! Wodnice ze spania wstają... Wstawały z fal lekkie, śniadobiałe zwoje. Nogi ich i powłoki szat jeszcze się kryły w topieli, jasne kędziory cudnych głów dźwigał pachnący wiatr ponad kępy łękliwej trzciny. W głębokim cieniu, pod urwistymi brzegami, znać było przezroczyście ich ciała, ich zmienne lica i oczy białe, a już za mgnienie źrenicy stawał się z nich jeno przejrzysty dym -i nic. Śniło się wojom, że z nich to, z mgieł stają się ważki błękitne...

Cofnęli uzdy rumaków i poszli stela w cwał, pełni dumania i czci. W pobliżu Mściwa dom czerniał na wzgórzu. Ogromny jego dach i ściany stare stwarzały obraz swój żywy w porannej wodzie. Tyn z wielkich kłód bitych na pał, a od wnętrza mocno spojonych płatkami, otaczał go ze wszech stron. Gdy mocno wiązane wrota obróciły się na biegunowych wierciejach i przed jadącym zastępem rozwarły, ujrzeli dwór. Stał przed nimi dawny, przedawny, zbity na moc, na siłę, z bierwion kładzionych w węgły, na wieniec i na zamek. Przyciesie i same płazy były szerokie na cztery i trzy piędzie, utkane w szparach mchem. Słoty jesienne i zadmy zimowe okryły je rudą polewą.

Zsiadł z konia Mściw. Uderzył radosnym ciosem we drzwi. Wnet się usunął zębaty wrzeciędz bukowy i uchylił skrzypiące dźwirza, nabite jesionowymi kołkami. Zsiedli z koni przybysze i przekroczyli wysoki próg schylając głowy pod niskim okapem dźwirzowym. Stanęli w izbie czarnej czuprynymi sięgając dymu, co wałem w górze stał grubym. Schylili głowy w niskim pokłonie przed ogniem pośrodku płonącym. Skłonili się po wtóre z radością i wielką czcią przed ogniem błogosławionym, co na wielkim palisku z gliny między szczepami smolnymi połyskał. Skłonili się po trzecie przed ogniem wiecznie radosnym...

Obrócił oczy Mściw ku światłu padającemu przez dym z dziury szczytowej — i szeptał po zdrowieniu domowemu bogu. A pozdrowiwszy domowego boga starł połą niskie dookólne ławy z balów cisowych i prosił gości pokornie, żeby zasiedli.

Zdjęli rycerze kołpaki, ściągnęli z ramion blachy ciężkie, odpasali pasy i odsunęli broń. A skoro oczy do mroku domowego przywykły, ujrzeli z radością na ścianach ze smolnego drzewa, które był powłókl dym pokostem ciemnobursztynowym, starą praszczurów broń.

Szerokie siekiery z brązu i krótkie zamorskie miecze, wielkie rogaciny bukowe i osęki, maczugi — bunkosze, śliskie od wielu dłoni, co nimi władały, szczyt y olbrzymie, powleczone skórą zwierzęcą... Przedwieczne tam młoty na styliskach dębowych, uczynione nie wiedzieć przez kogo, za ojców, z głazu twardego kamienia, przeborowane pracą krwawą... Wielkie tam łuki i kołczany pełne strzał o bełtach krzemiennych i brązowych, zaprawnych śmiercionośnym ciemierem. Na wbitych w szpary kłach odyńców i na rogach turzych, na

wielkich widłach jelenich wyświechtane rzemienie, uzdy zeszlę od słot i upałów, siodła, popręgi, kańczugi plecione, pętle i arkany z kręczonej skóry, a pieśń śmierci świszczące proce.

Poczną się z komór wychylać głowy nałożnych Mściwa żon, dziewczek. Radosny krzyk...

Dzieci... Nie szedł ich witać Mściw, gdyż gości gościł. Wnet każe wynieść z lochu miodylipce, dymione poście sarnie i dzicze, wnet każe dawać chleby przecudne, słodkie kołacze ze zboża w żarnach mielonego, co się na niwie przywodnej łońskiego urodziło roku, gdy on daleko wojował.

Hucznie uczują rycerze. Róg turzy, pełen miodu, z rąk do rąk idzie.

Hucznie uczują rycerze.

Piją koniędza Walgierza przedzrowie, co ich z obozu, z żelaznej garści królewskiej wydarł.

Do dom ich wrócił, do komór żoninych, do kolebek... Chwałą rycerze koniędza Walgierza moc, mądrość, czyn i słowo. Wynoszą go krzykiem pospólnym ponad króla polskiego...

Tęgo a bez rachuby pije Walgierz. Chwali Mściwową dziedzinę. Wysławia ciche dolinki i jeziorzysko, pochyłe, zadumane góry, pole zorane i cichy sad, gdzie białe kwitną wiśnie. Wysławia Walgierz ojce Mściwa i czci ich świętą broń.

Długo trwa uczta, do ciemne ] trwa nocy. Aż runął koniędz Walgierz na skóry niedźwiedzie, warstwami w kącie izby usłane. Kamiennym zasnął snem. A o północy, o pierwszych kurach, padnie zmora na jego chrapiące piersi. Przydusi mu zmora potężne barki jakoby zbója kolany, a gardziel ściśnie kleszczami. Śni się sen.

Wypływa z pustki nocnej mgła — ważka, łateczka błękitna, co nad wodami w poranek się unasza, co na badyłach nocuje, na liliach wodnych śpi -boginka cudnej postaci, dziwnej urody. Spojrzał w nią nagle rycerz Walgierz oczyma widzącymi i poznał ją w krzyku radości.

Cudki to żony twarz!

Oczy jej białe jak głębokość nieba i jak rozdoły królowego morza. Oczy jej żywe jak źródłana woda. Rumiane śmieją się usta. Senna rozkosz objęła głowę i otoczyła szyję. Rozkosz, której słowo nie wypowie, a śpiew nie wyda. Wyciągnął rycerz ręce przez sen ku pochyłym narcyzom, co we włosach odmieńki tkwią, ku róży nieśmiałej na młodych piersiach. Aliści ręce jego wrośnięte są w głębokość ziemi jak góry ciężkie, jak skały nieporuszone. Wołać na nią, krzykiem wołać! ... Brak tchu. Padła na piersi wieszczycza błękitna, ważka ulotna, w to miejsce, gdzie serce wzburzone huczy. A padła jakoby złom strzelistej w Tatrzech góry. Poczul koniędz ból przeraźliwy, bardziej nieznośny niż od przeszycia na wskroś cienkim italskim puinałem. Pochwycić chce rękę, co mu zadała cios, pochwycić dłonią wojacką, ale jej ująć nie zdoła. Ma ją i nie ma jej wcale. Chwyta ją skurczem śmiertelnym, jakby nadwodną mgłę chwycił. Miota się w męce i strasznie walczy, niby pod nożem skrytobójcy a pod zegadłem siepacza. Aż oto słyszy błękitnej ważki tajny-tajny, do duszy mówiący szept:

— Walgierzu, Walgierzu...

— Cudna...

— Jam jest.

— Żono!

— Jużem nie twoja - mówi — żona. Krew w żyłach krzepnie, a serce staje w biegu. Słowa się wymkną spomiędzy skostniałych warg:

— Któżes ty jest, umiłowana?

— Wróc się, wróc...

— Dokąd mam wrócić?

— Wróc się, wróc...

— Czemu tak mówisz, żono moja?

— Jużem nie twoja, rycerzu, żona.

— Któżes ty jest, jasnowłosa?

— Walgierzu, Walgierzu...

— Cudna...

— Jam to jest dusza twoja.

— Ty jesteś dusza moja...

Dusza twoja...

### Rozdział III

Spod głuchej męki wstał rycerz rano. Głęboki lęk ozionął serce upadłe i żal, niebacznym na wywody rozumu. Dokądkolwiek zawrócić wolę, nie ratunek się znajdzie, lecz wątlą mgłę obawy. Raz w raz przekosi dusze trwoga jak dreszcz, co się z mokradeł wylęga. Piersiom rycerskim brak tchu. Z ręki omdlałej czyn wylata...

Zatroskał się głęboko Mściw: pod jego dachem dziwożona piersi koniędza dusiła... Pod jego dachem gościa serce jest oczynione i od strzygi uczynek został zadany.

Siedli do rady towarzysze i ugwarzyli gorącym słowem, że trzeba nie tracąc czasu iść do wróż po odczynienie.

Szli tedy wnet wszyscy czterej we święte tęgobory, w puszcze Łysicy. Zdązali chyłkiem, żeby ich zaś nie dojrzał świadek, a nie doniósł niemcom z eremu, co u krańca puszczy siedzą.

Brnęli woje brzegiem strumienia Czarnej Nidy, urodziwymi wadoły, wśród olch i świerków, po smugach mokrawiny, kędy się żywa woda w wysokich trawach kręgiem-kręgiem, wstęga-wstęga wije. A gdy się rozdzieliły strumienie i rozeszły, ten ku Strawczanej, a tamten ku Wielkiej Górze, ruszyli za środkowym, co po ostrych kamykach, po rudych mchach z uroczym szmerem płasza. Skacze tam strumień z weselem w głębi swego łożyska, bełkoce pośród koślawych pazurów jodłowych, biega zdyszany to tu, to tam, na obraz młodego a zdrowego ogara.

Weszli za nim rycerze w pustosz, w ciemną i głuchą knieję. Cichy wiatr nuci tam samemu sobie, kołyszac się w spławach jedli zielonych, co zwisają ku ziemi. Cichy tam wiatr, pachnący wiatr błądzi, stapa, wzdycha w puszczy. Kiedy niekiedy sfrunie na trawy. A trawy tam mokre, wysokie, rubinowe spodem od ukrytej jagody a wielobarwne po wierzchu. Trawy tam modre i rumiane, złote i białe od uśmiechów dobrotliwej matki, świętej Pogody.

Przywiążą wiciądze konie do pniów, odpaszą miecze, zdejmą skórzane kaftany. Strach pada w dusze.

Idą ostrożnie w głęboki bór.

Zwały na drodze ich, wykroty, doły. Tramy przed czasy upadłe gniją w wieczystym pokoju. Zwalił je wichur z zachodu lecący, straszliwe skoki Śwista-Pośwista, gdy pędząc na wielkich koniach grzywiastych chmur, z grzmotem pod kopytami a piorunem u lewego boku, deptał puszcze. Ponad zgniłymi truchłami jodeł pienia się cudne bugaje młodocianych jodełek, chciwe na wodę, ciche potomki Lela-Polela. Olbrzymie głazy, obleczone w grube kozuchy mchów, we śnie tam śpią nieprzespanym. Szepty wśród nich ukryty głos strumyka.

Wiedzie pogwarem w górę a w górę, pod szczyt, jak młody wiemy pies.

Aż oto we dwie strony odchyli się zwarty jodłowy bór i ukaże się widnia polany. A na polanie buki niezmierne, buki głuche, buki piorunowe kępą samotną królują. Głowy ich, co burz tysiącem wzgardziły, zawždy we mgłach. Ramiona konarów krzyżują się pomiędzy sobą.

Płaczą się twarde różgi i dotykają liście.

Z dała tu płyną podróżne chmury nocować na widłach konarów, owijać się o wielkie sniaty i śnić chłodnymi rankami o ziemi nisko rozległej. Z gałęzi buków rozchodzą się i zstępują w różne strony na garbatą i płaską ziemię dzikie, srebrnosiwie pawęże gradowe, posępne białe kudły śnieżyc i bure, senne kądziele dżdżu. Tam się w stalowych gałęziach hodują czerwone wstęgi piorunu. Pnie ze wszech stron otacza wielki tyn. Zaparte w nim na glucho wrót wierzeje.

Przyszli czterej do wrót i kołacą z łoskotem — raz, drugi, trzeci. A gdy raz trzeci kołacą potężnymi pięściami, cicho się wrótnie rozsunięły na prawo i na lewo.

Święta przed nimi kontyna.

W cieniu buków starych-prastarych kryje się jej wysoki dach i ściany z cisowych śniatów.

A wkoło niej trawy a trawy. Nie deptany kwietny łąn, niwa bodze poświęcona. Kości tam koni Swaroga w ziołach bieleją. Grzbietu koni Swaroga nie dosiadł przenigdy człowiek. Nie okiełznał ich uzdą jeździec ani opasał popręgiem. Nie zniewazył ich rzemień kiścienia ani dotknęło pogłaskanie. Nie obciążyla ich przenigdy praca ani ogłuszył zgiełk boju o ludzkie krzywdy.

Żyły tu wieszczce rumaki w trawniku świętej Pogody. Wodę piły, gdy woła, ze źródlika wiecznie żywego Czarnej Nidy, co z głębin góry bije, a spod przycieś! bożnicy baniami przejrzystymi wytryska. Starość je do snu wiekuistego śmiercią uspiła. W owych się ziołach, na puchach kwiatów pod bukami układały spać z dobrowoli na wieki.

Swarog rozwiązał ich żyły, a piękne kłęby i lśniące łopatki w zwłoki gnijące zamienił. Leł-Poleł obmył czystymi wodami z chmur na bukach osiadłych kości białe, krew struchlała, a ciało zgniłe połączył z ziemią i niewidzialnymi drogami poniósł do głębokich korzeni bukowych. Świst-Poświst osuszył, co się ostało, i prochem życie rodzącym rozniósł po puszczy, a rozdał kwiatom i mchom.

Rogi tam, kręgi, piszczele lotnych nóg świętych jeleni puszczańskich, które na dni ostatnie starości przyszyły były paść się w ogrodzie — i strudzone długością żywota, zasnęły u drzewi kontyny.

Kości tam białe i kielce wygięte wieprza dzikiego, co bezpiecznie przychodził z pustyni leśnej gnić pod progiem wysokim... Kości tam wilka, co stary i zapadłoboki, z żelaznymi od głodu ślepiami, a pod okłścią zimową przemarzyły, przywłóczył się na chwilę ostatnią...

Śnią ponad źródłem, co jak serce w piersi człowieka wiecznie w łonie ziemi bije, kępy dzięgielu. W pierzastych liściach rozkwitł kwiat. Tajemny kwiat, co tynem bezpiecznym otacza dom człowieka od uroku czarownicy... Tajemny kwiat, co za dnia weseli widokiem swoim upadłe serce, a nocnym zapachem odgania cień chodzący dokoła węglów i niweczy wielki strach nocny pod strzechami.

Patrzą ku słońcu nie zmrużonymi oczyma promieniste złocienie. Jasna ich moc za siódmą górę a za dziesiątą rzekę odgoni widmo złośliwe, jeno o świcie wstań, gdy jeszcze łąka rosą opita, rwij jasne główki złocieniowe i pilnie noś na sercu.

Pod ciemnym tynem -jak gdyby poblask na wodach zorzy wieczornej. Lecz to nie zorzy poblask na wodach, jeno ciemnoniebieskich dzwonek zatoka. Na powikłanych odnózkach, jakoby na rusztowaniach ciesielskich, przedziwnej siły wiszą dzwony, w które ranna zorza dzwoni. Skłonią się barwicą swoją oczom przybyszów dzwony z zorzy porannej przez wiatr i słońce tkane. I pozdrwiają oczy przybyszów nadobne kwiaty, plemieniu ludzkiemu przychylnie, a darowują oczom tę barwę, której, ponad wszystkie inne, trwożą się dziwożony.



Wielobarwne motyle, rzekomo latająca łąka, snuły się nad kwiatami ssąc z nich tajemne pokarmy. Jaskółki śmigały żywo dookoła ścian bożnicy z piskiem, świadkiem radości żywota. Znosiły żer pisklętom do gniazd przytulonych u szczytu kontyny pod głowicami Swaroga.

Szerokie, boczne podstrzesza świątyni pełne były gołębih gniazd. Gruchanie płynęło stamtąd dwiema żywymi falami. Płomienista wiewiórka przemknęła po gałęziach i skokiem znikła w szczytowym dymniku.

Jakoby na jej znak, na oznajmienie, stanął na progu Dziad prastary. Kudły siwe pasmami spływały na jego ramiona, a biała broda na piersi. Przeróżliwe i groźne oczy miotały ogień spod wielkich brwi. Zgarbiony był, wsparty na kij, odziany w łachman. W ręce, dygocącej jakoby z zimnicy, trzymał kazubek z osikowej kory, i rubinowe jagody sypały się z naczynia w trawę.

Ujrzawszy obcych, straszliwych ludzi, wejście sobą zaparł i rozkrzyżował ręce.

Rzekł Mściw pokornie:

— Wrózu, my swoi... Milczał.

— Dziadu, patrz na mnie.

Spojrzał na niego wróż i długo przebija oszczepami oczu. Aż wyszepce.

— Krzyż na twej piersi.

— Krzyż na mej piersi, lecz w sercu bogi.

— Czegoż to chcesz?

— Żebyś z jednego spomiędzy nas urok odczynił. Zwiesił dziad głowę na piersi. Duma.

Mamroce:

— Odczynić urok...

Aż się nagle poderwie jak jastrząb ugodzony strzałą, krzyczy:

— Idźta borem — lasem ku widni, idźta do niemców, co dzwonami strasznymi w knieję biją!

Niechże ta woma urok odczynia.

Chwieje się jego stara głowa. Usta wykrzywia i oczy bielmem zawłóczy głęboki ból.

Splatają się koślawe, sękate ręce. Śpiewa samemu sobie:

— Spaliły kloc...

Kloc stary, kloc wielgi, kloc święty w dymie, w dymie. Ogień go żre...

Pobiły żelaznymi broniami święte jelenie. Podusiły ptaki— krogulce. Gniazda zdeptały nogami. Zmaściły trawy końskim kopytem i wycięły kosą świecąca...

Święte buki wyrąbały od cna żelazną siekierą. Upadł na ziemię buk...

Zakołysał się nikięj gałąź od wiatru. Pełne łez zamknął oczy. Zaszlochał:

— Świstu — Świstu — Poświstu...

Chodzisz stronami, borami a po górzystych wierzchołkach. Grzmot lata po ostrych skałach, a wiatер maści lipy po górach. We wody pieron twój bije, w kamienie, w chałupy, w kostnice.

Pali, tratuje...

Przychodź...

Polelu— Polelu— Polelu...

Bij z wierzchołka, z wysoka! — Strzelaj czerwoną procą!

Polelu! — Wyciągnął ręce w świat i począł wzywać:

— Świstu — Świstu — Poświstu!

Przychodź!

Wielgi, wielgaśny, okropny!

Latasz teraz turniami, po wysokich, po górach. Śmigasz po siołach, po wodach, po żaliskach dalekich.

Uderz we wielgie, we skrzydła, w szerokie!

Przychodź!

Bij krzywym nosem i rwij ostrym pazurem. Zakwicz, zaskowycz, zawyj jako za małymi wilczyca w kniei.

Rozdujesz płomyczek mały— małuśki, rozdmuchasz we skrzydło tyłośne jako połać borowa od Jeleniej Góry po Kamień.

Będziesz se chyba polatał nad dymem, będziesz se fruwał i wartko wiał krzyżami w ogniu, szubienicami po górach. Będziesz se walnie tańcował we zgliszczach, w popiołach będziesz się bawił.

Będziesz se poświstywał dadana — da w piecowiskach wyziębłych, da na wysokich, na grobach...

A gdy śpiew dziada stał się cichy, a gdy ręce jego v przestrzeń podane stężały, gdy oczy w przestrzeń wbite zastygły — daleko — daleko — daleko zaszumiał górski bór. Rozszedł się w puszczy jodłowej osłuch wichrowego polotu.

Zdało się tym, co słuchali, że głucha ziemia stęka od wielkich kroków, gdy idzie przez bory, asy wezwany wicher-bóg. Cięciwa jego łuku tęskny wydaje dźwięk, a kołczan pełnostrzały szeleści nad kniejami. Padnie na jedle, na modrzewie, na cisy i na sosny podmuch-szum. Poda go knieja kniei. Wzdyma się głos na górach, rozwija się jako chorągiew bojowa, jako proporzec królewski.

Uśmiech na twarzy dziada.

A skoro buki, piastuny chmur, buki wżgardliwe, buki ponadleśne w harfiany głos uderzyły, padł na oblicze WRÓŻ. Kudły jego długie rozwiały się w badyłach traw i wpełzły pomiędzy kwiaty. Siwy włos okręcił się dookoła szypulek, zahaczył na odnózkach i plewach. I zstąpił powiew Świstu-Poświstu z gałęzi buków na wyniosłe, na liliowe, na białe, rumiane i żółte zioła. Zakołysał się kwiecisty łąn. Westchnęła od wonnych szmerów, od łaskawych szelestów, zagrała ze wszech strun łąka bodze poświęcona. A wonny powiew jakoby dym szedł przez szerokość tam i sam — ni to westchnienie, ni to pokłon, ni to uśmiech ocknionej dzieciны w majowe rano, ni to załęknienie starca, co wita wchodzącą w progi śmierć. I wraz z zagajem badyłów, wraz z wiotkimi kiściami tysiącznika chwiały się tam i sam włosy rozwiane wróżowe.

Gdy zamilkł powiew i ucichł szmer, a trawy rozkołysane w ciszy natchnionej nieme i czekające stanęły, dźwignął się wolno dziad. Twarz jego jako u trupów, oczy nie widzą, jak za dnia oczy sowy. Zgrabiałe ręce szukają w przestrzeni. Zwróciła się skostniała twarz wróża w koniędza Walgierza stronę, a przepaściste oczy uderzą weń jako krzemienne groty ślepych polotnych strzał. Szepcą uschnięte wargi:

— Woju wysoki...

Zła twoja, woju wysoki, doła.

Hej, bardzo zła twoja doła!

Słychać, jak ziemia w głębokości nad tobą głucho stęka, a woda nad tobą szlocha.

Sława twoja głęboko wzdycha -och, głęboko, a nisko twoja sława w lochach płacze, och, bardzo nisko...

Wysoko twoja chwała polata, szeroko, daleko wieje. A chwale twojej końca nie ma. Idź, woju mocny, do stoku, co haw ze ziemi bije, nachyl się nisko, nisko nad wodą. I patrz. A skoro samego siebie zobaczysz, przypatrz się, woju, dobrze, żebyś — widzisz — samego siebie poznał po czasach...

## Rozdział IV

Śmieje się w głos z bredni dziadowej.

Pędzi w cwał.

W konie! W stronę tynieckiego zamczyska, ku słońcu! Za nim dwaj towarzysze. Wydrzyoko i Nosal. Miecze trzaskają w strzemiona, parska biegun wypoczęty.

W piersi Walgierza serce radośnie łomocze. Tęskno mu do Wisły-wody, do widoku gór o świtanu, gór, co daleko we mgłach błękitnieją. Obcą mu każda puszcza, długą mu każda droga, a ziemia zda się wielka nad świat. Kiedy niekiedy przemknie się w dreszczach cielesnych myśl urocza jak widok łąk wiślańskich w pod-wiośnie:

"W cisowej komorze czeka, w cisowej Cudna żona śni. W podziemiu jęczy koniędz żupy wiślickiej, Wiślimierz..."

I przyjdzie wnet do ucha, nie czekany w końskim tętcie, słabego szept wietrzyka:

"Uczyń mu dobrze, woju wysoki... Puść mu winę z dobrowoli, a karę zaklętą skróć. Odemknij kluczem ciemnicę. Zajrzyj w mrok, wejdz. Straszny jest mrok ciemnicy. Wyrwij słabego z kuny żelaznej. Weźże go, weź w ramiona... Ugość go chlebem, napój go miodem. Zawrzyj z nim pobratymstwo na życie i śmierć przeciwko polskiemu i przeciwko czeskiemu królowi. Puść go, puść na koniu bogato siodłanym w Wiślicę, w starą ojczyznę..."

Serce rycerza drży. Oczy się śmieją ku niebu. A myśl jak zapach kwiatowy dymi się w duszy:

"Takem zaiste postanowił. Tak mu uczynię. Przez twą przyczynę, Cudna żono..."

Jakby w nagrodę za ową myśl, jakby w przedziwnym powinowactwie z postanowieniem — rozchyła się het-het lasy szerokie. Wiślańskie łągi! Widać z wyżyny kwieciste, nieogarnione oczyma. Wierzyby tam po nadwodziu rosochate, wikle się srebrzą w porannej mgłę. Daleko dumają kępy sokorów, daleko w błękitach toną białe brzozy. W brzegach rozkosznych płynie połyskliwa Wisła-woda. Toczy się popod wzgórze okrągłe i chlupie w gliny żółte osypisk, toczy się popod skały wapienne i wstęgą błękitu ich białe stopy otacza. Wraca się w łąki i zanurza się w lasy... A nad nią krzyk wiosenny czajek. Na skale białej, na skale wysokiej zamek drewniany basztami w niebo strzela.

— Tyniec widać... — szepcą druhowie.

Weprą rycerze żeleźca w boki biegunów i sadzą w skok łąkami kwietnymi. Wpław płyną przez Wisłę — rzekę. Skoro zaś bystry koń strząśnie ze siebie wodę na brzegu, uderzy Walgierz w róg. Uderzy raz, uderzy drugi, w hejnał radosny, w dźwięk rodowy.

Padła z łoskotem brona nad rowem. Rozwarły się cisowe podwoje...

Cudna w nich żona!

Stoi we słońcu. Słońce w jej włosach jasnobiałych nurza się jakby w sobie samym.

Jakże jest piękna!

Promień słońca wiecznego, gdy spadł z niebios na ziemię, gdy ziemię czarną nawiedził i spoił się z nią uściskiem — zaprawdę w nią się przemienił.

Nie wierzy oczom swym Walgierz Udały. Nie wierzy uszom swym. Uśmiecha się do widziadła sennego, do duszy swej, do wieszczycy na jawie stojącej.

"Tyś to jest zaprawdę dusza moja..." — szepta samemu sobie.

Szybkimi kroki przypadła do strzemienia rycerza.

Ręce do jego żelaznych ramion wyciąga...

Dźwięczą bale lipowe, w prastarej puszczy ciosane, pod ciężarem stopy żelaznej zadumanego, kiedy szepcząc, nie widząc w komnaty zamkowe idzie. Szumią nad jego szyszakiem drzewa zamkowe. Pachną ku niemu z dziecięcych lat znajome trawniki. Chwieją się w jego stronę pławiny domowych krzewów.

Nie widzi nic, nie słyszy nic...

Och, szepty teraz ciche...

Tęsknota już skończona, już ukojone westchnienia i uschłe łzy. Już się oczy w oczach zamknęły niby obłoki żeglujące od krańców świata — w głębinach jezior. Słowa nurzają się w słowa, usta nurzają się w usta. A każde słowo jest jako dym kadzidła, każde westchnienie pada do kolan żony, do stóp się schyla, na twarz upada we czci, ślad jej całuje. Nazwy nieznane, pogwary cudze, rzekomo z zaziemskiego języka, spływają z warg. Wciąga rycerz oczyma rozkosz widoku sprzętów i szat żoninych, a ręką drżącą od zachwyty, od szczęsnej trwogi, głaska długą, głaska jedwabną, rozpuszczoną burzę włosów.

Westchnął po cichu ze szczęścia.

Zakrył oczy, stanął i duma.

Duma o tym, że niewiadome moce dały mu oto taką chwilę. Duma o tym, że nie na próżno uszedł z obozu i polskiego zdradził króla, bo oto ziścił się sen, spełniła tęskna żądza. Dobrze uczynił... Duma o włosach żoninych pieszcząc je ręką chciwą i sen śni o jej oczach zaćmionych marzeniami patrząc się w nie bez końca. Stał się bezsilny, dobry, szczęśliwy jak ptaszek leśny, co na gałązce kalinowej śpiewa w boru. Stał się łaskawy jak kwiat na błoni u wiatru kołysany.

Wiedzie go żona cicho, cicho...

Wiedzie go żona sennymi krokami. W tajne idą sienie, w alkierze, w bokowe świetlice. Do baszty, do baszty, gdzie z dawien dawna ulubiona izba ich otworem stoi...

Odpasał konia po drodze i rzucił na ziemię ciężki miecz. Zwalił z ramienia puklerz olbrzymi. Szybko pozdzierał rękawice żelazne, co lubej dłonie uwierają. Rozprzęga prędko sprzączki blachownie pancerza. Rzuca za siebie szłom, żeby nanośna stal pocałunkowi jasnych oczu nie wadziła. Już twarda przyłbica nie stoi między bezsilnymi czołami...

Aż oto próg miłosnej świetlicy.

Pozdrowia Walgierz oczyma rozkosznice— ściany i uśmiech szczęścia posyła ciemnej bizantyńskiej kotarze.

Wstrzymał się u proga — w modłach duszy jakoby w gęstym obłoku.

W owej to chwili rzuci niewidzialna ręka rzemienny stryk na jego szyję.

Zdusi pętlica gardziel rycerza.

Mrok w oczach!

Strach!

Płaty krwi, zielone krzyże, koła ogniste. Huk w głowie!

Runął olbrzymi Walgierz na wznak. Ciemno mu w oczach. Tchu nie ma!

Błysk myśli:

"Śmierć nagła moja..."

Chichot nad nim żonin — i jeszcze czyjś. Przez bogi! — i jeszcze czyjś... Cienki puinał przerażenia z wolna, na wskroś, idzie przez serce:

"Wiślimierz! "

Pochwyił rycerz Walgierz dech w piersi. Straszliwy gniew szarpie się w sercu. Pierwszą myśl siepie z pochwy mózgu jak miecz:

"Jeszcze się wydrę! "

Ale nim oczy rozewrzeć, sto rąk skrepuje mu ramiona i lędźwie rzemiennymi pętami, sto kolan przydusi piersi. Włoką go za bujne włosy. Wykręcili z jabłek ramiennych ręce obie i spoiłi łokcie rzemieniem! Spętali nogi w kostkach i kolanach, a w usta wbili z pakuł tłok skrecony. Ciągną go dysząc — tam — ku ścianie. Mamrot tłuszczy. Prędkie a krótkie rozkazy.

A w ścianę wbity żelazny słup.

Kuny przy nim zamczyste na ręce i na nogi, okrągłe skoblice na gardziel i pod pachy.

Sprawnie zamknęli nieudźwignione kajdany żelaznymi kluczami. Młoty ciężkimi zakuli na żywym, zdyszczanym ciele sztaby zagięte.

Zakleпали. Na wieki wieczne zakleпали. Na wieki wieczne zakleпали.

## Rozdział V

Dnie, noce, miesiące, lata. . .

Długie są dnie Walgierzowe, a noce są nieprzemierzone.

Zstępuje noc. Idzie mrok. Jak wilk zapadłoboki, wychylający się z lasu na łup, na żer, czai się mrok... Ciemność pracowicie zatyka wąskie szpary między prętami okiennych krat. Strach pełza po nagich ścianach, zgryzota się wałęsa z kąta w kąt, a bose nogi zmory, nogi z mgły, stąpają w ciszy.

Rozsunęła się niespodziewanie wielka zasłona, którą był Walgierz Udały onego czasu na carogrodzkich kupcach zdobył. Blask ognia uderza w oczy — i widok.. .

Tam w głębi!

W głębi, na skórach niedźwiedzich, w boju na puszczy ręką Walgi erza zabitych... Tam w głębi Cudna żona w ramionach leży zwycięzcy. Śmieją się w głos obydwójce pośród pieszczoty. Odwraca głowę Cudna żona i mówi w ciemność:

— Więźniu! Więźniu, czy jeszcze śpisz? Kochanek dorzucił z krzykiem:

— Więźniu, czy śpisz? Zbudź się, ospalcze, i patrz! Ów milczy, do żelaznego słupa podobien, na którym wisi z dawien dawna. Powieki się raz na zawsze zawarły i oczy patrzą w głębinę nieszczęścia, w jaskinię wewnętrznej ciemności. Wówczas Cudna żona rozepnie pągwicę, zwlecze z ramion oświk, szatę zwierzchnią, a gźło rozchyli. Nagim ramieniem otoczy szyję zwycięzcy. Śpiewa mu w czerwone usta miłosną piosneczkę, którą była mężowi dawniej śpiewała. A piosenka jest cicha, cicha, padwanek półszeptany, półnucony o leśnym ptaszku, o słowiczku i o gałązce nad wodą kaliny. Słucha Walgierz piosenki małej, w której jakoby w kropli rosy mieści się wszystek świat. A po każdym nawrocie padwanka, a po każdym pocałunku słyszy w ciemnicę swą zlatujące pytanie:

— Więźniu, czy śpisz? Och, śpi. Zamknięte ma oczy na tryby tak twarde, jak twarde są ogniwa kajdanów. Głowa na piersi zwalona. Palce rąk twarde łańcuch objęły.. .

Wezmą wtedy oboje szczęśliwi lampę i zstąpią ku niemu z wysoka. Świecą mu płomieniem w oczodoły. Palcami mu dźwigają powieki mocno zawarte. A czynią tak dopóty, aż je otworzy i patrzy w nich ranami śmiesznymi źrenic, plugawym wstydem oczu. Wtedy z nadmiaru uciechy chichocą oboje. Wiedzą dobrze, szczęśliwi, że skoro się te oczy rozewrą, już ich zawrzcć niesposób. Wiedzą, że będą bezsilnie na rozkosz ich patrzyły, póki nie posną od szczęścia znużeni.

A gdy oni posną wysoko, jego leżącego tak nisko otoczą widma bezsenne i zmory wiecznie żyjące. Chodzi dookoła głowy zabitej widmo ciche, zmora — mgła, a nóż ma w ręce ostry,

szeroki. Nie masz miejsca w duszy, którego by nie zraniło, nie masz chwili dawnej ani chwili przyszej, której by nie pokazało w lustrze ostrego noża. I tak długo, tak długo, póki się ranek nie włamie między kraty okienne i świt jaśnie litosnymi oczyma nie wejrzy w norę więzienną.

Gdy ranek śpiących w rozkoszy obudzi, siada Wiślimierz na posłaniu i ciska do stóp więźnia wzgardliwą kość jałmużny, kęs pożywienia z wczorajszego stołu. Mocny jest głód.

Bardzo jest mocny głód. Schyla się dumny rycerz i zre łaknącą żuchwą.

Pan pyta:

— Widziałeś szczęście moje? Wrosły w łańcuchy me mówi nic. I słyhać jeszcze pańskie słowo:

— Skoro me szczęście uznasz dobrowolnie za prawe, uszanuję twoją sromotę.

Wówczas Walgierz Udały mamroce:

— Nie szanuj mojej sromoty, nie szanuj.. .

— Czemu, rycerzu?

— Albowiem — rzecze — jestem w kajdanach.. .

Lecz mówiąc słowa te Walgierz drży w duchu i nieugiętą dłoń trwogi czuje na gardzieli.

Smała się batami słów dawnych, słów dumnych, słów rycerskich, byleby nie dojrzano, jak żebra drżą pod łachmanem. Maca w sobie wzrokiem ducha, ranę, źródłisko wieczne, i krew brocząca nieustannie trwożnymi dłońmi osłania.

Wie, co go czeka.

Cudna śmieje się ku porankowi.

Wieniec z kwiatów nadwiślańskich kładzie na jasne włosy. Blisko, blisko podejdzie.

Wyciągnie ku niemu rękę małą i dłoń na czole schylonym położy. Zanurzy palce we włosy, rzekomo ku pieścizocie. Weźmie na usta dawny uśmiech, podobnie jak bierze na ramiona szatę tkaną, a wieniec kwiatów nowych na bardzo piękne włosy. Łagodnym szeptem przedrzeźniać będzie imioniska pieścizotliwe, słowa— całunki i słowa— pogłaskania, które mu niegdyś w usta szeptała.

Wiślimierz wdzieje szatę wspaniałą, z bezcenną futra opuchą, szatę, co ją był Walgierz nosił za dni szczęśliwych. Otworzył Wiślimierz skarbiec naddziadów i świętości rodowe Udałego przegląda. Jedne sobie zatrzymał, a inne rozdaje sługom.

Zeszli się słudzy, których był Walgierz w lochu trzymał bezprawnie, nogą popychał dla swej uciechy, psami szczuł z zemsty, pędzał kiścieniem do pracy jako bydło robocze. Teraz go oni potracają szyderstwami, smagają batem drwiny, kásają zelżywym słowem i szarpia



nikczemną ręką. Najśmielszy będzie go posiepywał za brodę, targał za uszy, szczypał w policzki.

Najpodlejszy plunie z wysoka na jego spuszczone powieki.

A wtedy słyhać z wierzchnicy książęcej śmiech Cudnej żony.

Więc oszaleje na nowo, po raz stokrotny, po raz tysięczny głowa Walgierza. Wydarł się z piersi po raz stokrotny, po raz tysięczny wewnętrzny głos, głos, co warg nie porusza, co na podobieństwo krwi żywej płynie z rany włócznią zadanej:

"Przyleć w huku płomiennym, Świstu— Poświstu! Boże— rycerzu! Uderz w zhańbione oczy moje piorunem miecza i rozwal gromem czoło plugawe!

Wypal żagwią ognistą nędzną siłę widzenia! Niech już oczy moje nie widzą! Zagłusz nikczemne uszy gromem wojennym! Niech już ogłuchnę na wieki!

Zatop krynicę niewolniczych łez górnymi wodami, Lelu— Polelu! Niech już na wieki ustana..."

Nie przyjdą ku pomocy bogowie.

Jasny jest błękit niebios — trwa cisza — a Pogoda udziela łaski swej Wiślimierzowi..

Tedy Walgierz przeklnie bogi i straszliwą zniewagę ciśnie w niebiosą. Zatrzasło się jego serce i zawarło — mózg się wyrócił. Ciało, skręcone w kłęb, popadło w bydlęcy sen, w sen niedźwiedzia poszarpanego od stada psów.

Tak miną dnie, tak miną noce.

W godzinach zniewag, o każdej porze dnia, w każdym momencie wieczora Walgierz o jednym śni. O jednym śni.

Pociąga ramieniem łańcuch, pociąga łańcuch... A od pracy długotrwałej, niestrudzonej stały się ogniwa łańcucha czujące tak samo jak stawy, ścięgnię i więzy ramienia. Wydłużyły się kości, rozciągnęły się żyły i przeszły w skręty żelaza. Dłoń czuje żyłami i zna kośćmi każdy ruch ogniwa, wie do cna siłę haków. Jest łańcuch niby wydłużona, bolesna ręka. Myśl pod maską snu i pod figurą upadku ciała śledzi wciąż jedno. Tam, w górze, macica śrubna wkręcona w żelazny słup... Nie widzą jej oczy, nie dotyka jej ręka, lecz zna ją myśl. Wciąż niestrudzone, bezsenne, obłąkane badanie okrąża ją dzień i noc. Mutra zdaje się spać jako i on.

Nieruchoma jest jako i on, ślepa i głucha jako i on. Lecz pod nią śruba, wkręcona w słup, już się od targania porusza. Już się porusza...

Tak miną dnie, tak miną noce.

Aż o wyśnionym północku, gdy zamieć bije skrzydłami w czuby zamczyska, gdy Poświst łamie lasy i rozjuszony błąka się w puszczech — natężył Walgierz ramiona, porwał dech w

piersi, zestrzelił siły, postawił wszystkłą moc kości przeciwko wszystkłej mocy żelaza — i wyrwał śrubę ze słupca.

Skrwawiona dłoń błądzi w powietrzu! A u niej łańcuch zwisa. A u łańcucha śruba jak sztylet zwisa. Nogi w dybach, lewa dłoń w zamku, młoty zaklepana, pod pachami obręcz, ale prawica rycerska swobodnym łańcuchem włada.

Śmiech radości!

Porwał się ze snu Wiślimierz. Krzykiem zbudził zamkowe sługi. Strach błady leci w komnaty. Wrzask przerażenia oddaje echo.

Cudna żona w kucki na łóžu przypadła. Drży. Wielkimi oczyma patrzy w więźniowy kąt.

Walgierz pieśni śpiewa. Ciemnej nocy i hukowi burzy dziękuje za chwilę. Woła ku sobie wroga, wzywa go na bliski bój. Ścierwo zniewag rzuca mu w oczy. Idą ku niemu siepacze chyłkiem, kupą, wilczymi skoki, ze wszech stron. Pan ich słowem i obietnicą nagrody podjudza. Rzuca się wraz.

Strasliwie ciosy więźniowej prawicy poczęły rozsiewać śmierć. Łańcuch się zmienił w rozszalałą włócznię, a śruba w koncerz sieczysty i w zdradziecki puinał.

Leci na zbirów z wysoka, pada z boku, kołem się wiję, z dołu godzi. Pękają czerepy od ciosów wielkiego gniewu, zapadają się piersi, zwisają złamane ręce.

Lecz krótka jest chwila szczęśliwej walki — i przeminęła. Nastala inna. Ręka zboczona przykuta dziesięćkroć, stokroć.

Pan policzkuje zwyciężonego.

## Rozdział VI

Milczenie, co się otwiera, a nie zamyka nigdy... Milczenie, które wstaje i idzie w czarną dal... Głos słyhać w ciszy.

Poszum li to wiatru żalony, żalony? ... Świst-Poświst li to wzdycha u krat czy jeno serca strudzonego jęk w pustej piersi?

Z głębin wychodzi zmora cicha. Oczy jej kaprawe jak u mysznieńskiego biskupa, a piersi pełne szłochu. Staną owe oczy, zawałone bryłami łez, naprzeciwko oczu Walgierza, a usta wieszczka płaczącego naprzeciwko ust. Głos kusiciel, głos tajemniczej mądrości przepływa wśród nocy. Słyszy go Walgierz w głębinie duszy swej jakoby głos własnego sumienia.

A gdzie na duszę padnie ciężka łza wieszczego głosu, tam wyrasta subtelnie piękny kwiat rozczarowania, szerzą się nikle, urocze barwy zwątpienia. Wokół wyrasta jasna łąka, wirydarz chwiejny, wysoki. Zdaje się oczom w ciemność patrzącym, że widzą wieszcz ze zioła w podwórku świętej kontyny, zaczarowane kwiaty u źródlisk bijących z ziemi.

Ułudne badyle i mniemane kielichy wykwitłe z krwi, co uszła z żył świętych jeleni i w żyły się wtoczyła kwiatowe, wylewają zapach wieczysty. Szept wokół senny.

— Rycerzu, rycerzu...

Czyliżeś kiedy był za drzwiami jęku, azaliś wstępował kiedy do ciemnicy serca, co bije ostatni raz?

Gdzieżeś był, noszony przez konie sławy we wichrach, kiedy zęgnął oczyma zorzę niebiosów pobity mieczem twoim? Czyliżeś słyszał stękanie i trzask stancy złamanej a szloch i łomot upadającej chorągwi?

Rycerzu, rycerzu... Wysłuchaj teraz, jak brzmi tętent odlatujący konia zwycięzcy, a jak szcękają podkowy w błonach ucha tego, co został na krwawym polu i cicho leży sam jeden.

Bądź pozdrowiony, samotny!

Bądź pozdrowiony, samotny, od nas, które rośniemy za wrotyma wieczności, a pamiętamy o wszystkim. Niech się twe serce strudzone uciszy. Niech dusza spocznie w sobie samej.

Spojrzyj, samotny, strudzony, w źródło wody wiecznie wytryskającej i twarz swoją rozeznaj...

## Rozdział VII

Rzecz pan:

— Azali jeszcze knujesz zemstę?

— Knuję zemstę.

— Oto ci mówię miłościwe słowo. Zważ je w sumieniu, mocno ujmij rozumem. Z włostów odwiecznych idziesz rodu jako i ja. Aleś upadł z ręki mojej i zwalon jesteś na wieki. Nie będziesz już nigdy księciem na Tyńcu, nad Wisłą białą i nad szumiącymi lasami. Czy mię rozumiesz?

Odpowie więzień:

— Nie.

— Czemuż nie rozumiesz sprawy tak oczywistej?

— Jakże, będąc włostem z krwi pradziadów, mogę zarazem włosiem nie być?

— Dlatego nim nie jesteś, że ja jestem tobą.

— Czymże ja się stałem, jeśli ty jesteś mną?

— Jesteś niczym, ponieważ jesteś w kajdanach.

— Czyli się tylko nie mylisz?

— Nie myślę się. Któż by mógł koniędza zabić bez kary? Nikt. Ja zaś mógłbym cię zabić bez kary, a teje chwili mógłbym rozkazać trupa twojego wywlec za próg i rzucić w zgniłą fosę.

Jakież tve życie? Skinę i być przestaniesz.

— Skin!

— Zechcę, ażebyś żył w moich oczach wielmożnych, i musisz żyć. Taka ma wola. Tak musisz żyć, jak ja zechcę. Myśl długo nad głębokością mej łaski. Mogę cię zabić i trupa twojego rzucić w fosę, a ja cię życiem daruję i bratem zowie.

— Jakże to mam uczynić, żeby zaprzestać być sobą? Daj mi radę, o bracie.

— Daję ci radę: zapomnij!

— A jakże się to czyni, żeby zapomnieć, ty, który wszystko wiesz? ...

— Odwróć oczy od rzeczywistości i patrz w złudzenie. Patrz w złudzenie swego majestatu.

W złudzeniu jest siła życia. Rycerską wolę, rycerską moc, wszystką rycerską duszę zarygluj w pieśń, podobnie jak ja ciebie zamknąłem w dyby. Pieśń sobie wyśpiewaj o swej wielkości...

Śmieje się pan.

Więzień zamilkł. Popadł w zadumy, w sny.

Oczy ma w ziemię wbite, plecy zgięte, ręce rude i żelazne jak zardzewiałe żelazo skoblicy.

Wlecze się jego senna myśl.

"Stółek mój wyniosły uczynił Wiślimierza mądrym, potężnym. Miejsce moje wysokie uczyniło go wielkodusznym. Mógłby mię Wiślimierz zabić bez kary, a dał mi życie. Jest Wiślimierz potężny, mądry i dobry. Jest jakoby ojciec mój rodzony, bo mi życie darował.

Cóżem ja jest, zapomniany? Cóżem ja jest, zaiste? Któż mi odpowie? Możem jest zaprawdę nie rycerz i nie woj, możem jest zaprawdę jeno siepacz i sługa? ..."

Śmieje się kajdaniarz do myśli swej. Podnosi ją ku światłu nędznemu i patrzy w nią krwawymi oczyma.

A w głuchą noc, w ciemną noc posłyszają ludzie, że śpiewa samemu sobie:

— Sławo! Sławo!

Nad szyszakiem moim ze stali lustrzanej latałaś, nad piórami zaramiennych skrzydeł były twe drogi. W mieczu-zbójcy, gdym go z pochwy wydzierał, lubiłaś oglądać oblicze.

Sławo! Sławo!

Tętent kopyt po zeschłym stepie kochałaś duszą, a krzyk mój w wielkim boru nosiły twoje skrzydła promieniste ku odległym plemionom.

Sławo! Sławo!

Dzisiaj wydartą mam pawęż i szłom, i pas. Zakuty jestem w okowy i na ziemi waruję.

Podlejszy jestem od psa, co pod cudzym zdycha progiem, bo pod własnym leżę progiem, a nikczemniejszy jestem od lisa, bom w żelazach.

Zapomniała o mnie ziemia rozkwitła i zapomniały śniegi zimowe, woda rzeczna, tonie jeziorzysk i leśna cichość.

Zapomniały o mnie kości mogilnym próchnem zasypane.

Jestem sam jeden, gdyż opuściła mię dusza moja.

A gdybym podniósł głos tak wysoko, jak lata łamignat orzeł, co się w niebie z lotem oczu ściga, a gdybym rozszerzył głos głęboko, aż ku popieliskom przedwiecznym, nikt wołania nie usłyszy, tylko je słyszę ja, sam jeden.

Wróci się pod serce cielesne moje, skąd wyszło, jak gdyby hak z żelaza.

Spojrzycież, oczy moje, w rzeczy ziemskie nieustraszonym wejrzeniem, a nie przelęknięcie się niczego, cokolwiek byście ujrzali!

Idę odważny do wrót zawartych nieszczęścia mego i pięścią nieustraszoną zakołacę, jakom do wrót starej kontyny kołatał.

"Zła moja doła! "— rzekł mi wróż.

Wyjdźże z ciemnej bożnicy, moja zła doło!

Pokaż się, doło!

Niechaj cię ujrzą źrenice moje!

Niechaj się tobą nasyci moja zgłodniała myśl. Niechaj cię ujmie dłoń moja chciwa, jakom ujmował zabójczy puinał.

Lecz już się umknął od dłoni mojej rycerski miecz, od boku mego urwał się nocny towarzysz, puinał. Zła moja doło!

Ujmę w dłoń młot najemnego nędzarza. Na długim łańcuchu łez a w wiadrze beznadziei spuszcze się, górnik samotny, w sztolnię czarną, w rozwartą szyb przepaści. Pójdę korytarzami w kamieniu niedoli kutymi.

U boku broni żadnej. Na głowie szyszak pogardy. Zza ramion skrzydła pośmiewiska szeleszczą. Na kościach nic, jeno strzępy poszarpanych łachmanów przepychu ducha.

Nic, jeno w ręce młot, a w oczach płomień.

Nic, jeno w piersiach — samotnego serca łoskot głuchy.

Pójdę, zła moja doło, do końca.

Zajrzę w komorę tajemną.

Porwę w dłoń wyschlą, w dłoń oszalałą stylisko młota i będę w czarnej ścianę tajemnej komory dzień i noc kuł.

Albowiem w czarnej ścianie ja sam, zła moja doło, wrośnięty w kamień leżę.

Będę bił niestrudzenie, aż rozwarte oczy wykuję, aż obuchem zwałę w puste piersi kamienne.

Uderzę samego siebie oczyma w martwe oczy i konającą dłonią pochwycę puste kamienne piersi.

## Rozdział VIII

Słyszysz nad sobą znajomy głos:

— Udały...

Zadrzał w sobie rzekomo ziemia, kiedy ma ogień z głębiny wyrzucić, zakipiał jako morze od wichru. Głos... Podniesie oczy.

Nad nim Mściw z puszczy. Twarz Mściwa mądra, zimna, posępna. Rzecz:

— Przychodzę cię nawiedzić, Udały Walgierzu.

— Witaj, gościu, co godność moją pamiętasz.

— Bogowie z tobą!

— Iz tobą, gościu.

— W złej cię nawiedzam doli.

— W istocie, jestem ubogi, gdyż odwróciły się losy moje. Ale siądź, gościu, i spocznij w dziedzinie mojej.

— Nie twoja to już, bracie, dziedzina.

— Czyjaż, o bracie?

— Mojego i twego pana, Wiślimierzowa. Zapadł w milczenie Walgierz Udały. Pochylił głowę, zamknął powieki. Zda się gościowi, że więzień śpi. Czas mija.

Rzecz Mściw:

— Nadaremnie, nadaremnie trwasz w uporze.

— Trwam.

— Jakież tve życie!

— Żyję.

— Zapomnij, przyjacielu, o tym, co nigdy już, przenigdy nie wróci.

— Jużem, przyjacielu, o tobie zapomniał i twoje imię już nigdy, przenigdy na wargi moje nie wróci.

— Harda twa mowa.

— Harda jest mowa kajdaniarzy.

— Ta to hardość bezrozumna mocno cię trzyma w skoblach i klubach...

— Ciebie by pęta czterokroć mocniejsze nie utrzymały, giermku Wiślimierzowy.

— Słuchaj mię! Potężny jest Wiślimierz. Naszedł przez sługi swe i włodarze dziedzictwo moje w borach. Otoczył tyn mój tynem straszliwym zbroić. Ile w tynie słupów, tyle chłopów przepotężnych wokoło postawił. A w jednej ręce sprawca ich miał kajdany z żelaza, w drugiej dary ze złota, twojego, bracie, skarbu ozdoby. Więc mi rozum męski nakazał przyjąć dary, uchylić czoła. Cóżem miał czynić, powiedz sam?

— Jużes, zdrajco, powiedział.

Odszedł Mściw.

Snuje samotnik własną myśl, tkanę pajęczą. Spływa na myśli swej w jaskinię wewnętrznej ciemności jak pająk na nici swej:

"Ach, cóż jest czyn?

Jakże nędzny jest czyn!

Czyn jest nikczemny, czyn jest dostępny dla draba i zbira, któremu sprawca drogę i cel wskazuje.

Król polski niezwycięzony, którego cesarz udusić w żelaznych rękach nie może, zląkł się bosego biskupa. A biskup słaby był jak gąsienica w lipcu, jak mucha na jesieni.

Czegóż się zląkł przepotężny? Chudej ręki bezsilnej, gdy się dźwignęła, oczu łzami zasłanionych, gdy wejrzały..."

Snuje więzień wątłą nić swoją:

"Straszny jest widok cierpienia. Niezwyciężoną jest zemsta krwi przelanej. Łamie krzywda miecz i trzaska w drzazgi puklerz. Boi się Wiślimierz moich bezsilnych rąk, lęka się mojego jęku nocnego, drży, kiedy wzdycham. "

## Rozdział IX

Wolno z wysokości wierzchnicy zstępuje Cudna. Sama jedna po stopniach idzie. Skierowała ciche kroki w więzienny kąt. Senne, jedwabne słychać stąpanie, łagodne jak szelest pajęczej, szkarłatnej pawłoki, co ciało jej królewskie przesłania. Oczy żony wyniosłe, brwi zwiedzione, na ustach nie masz uśmiechu. Spojrzała w oczy nędzarza. Słowo słychać:

— Łaskę przynoszę.

A gdy ów milczy, groźne pada ostrzeżenie:

— Jeśli będziesz milczał, odejdę. A odejdę na zawsze. Proś mię, a może łaskę uproszoną zleję na czoło twoje.

Dusi się rycerz błotem słów, szlocha w sobie, tarza się w barłogu hańby. Aż, przewyciężony od długiej nędzy, wymówi:

— Łaski!

— Masz zniżyć głowę do stóp. Na znak.

— Zniżę głowę.

— Wyrzeczysz się przeminionej sławy i snu o sławie. Spojrzał w nią Walgierz krwawymi oczyma. We wzroku jego na nowo kiścienie ze źmij, w zimnym uśmiechu strzała zatruta ciemierem.

— Cóż mi dasz — pyta — za przeminioną sławę moją? Za co kupisz mój ostatni o niej sen?

— Będiesz spuszczonej z łańcucha.

— Będę spuszczonej...

— Rozwidnią się nad tobą dni szczęśliwe: pójdiesz za kute drzwi bez straży w ogród wewnętrzny.

Pójdiesz sam jeden w przechadzki chłodne, obrosłe krzewem kaliny, któreś rękoma dla mnie sadił. Wspomnisz tam dzieje naszej miłości...Spojrzysz w ogromne niebo świętej Pogody, w puste, szerokie, usłane chmurami, zobaczysz, jak się na krajach ziemi opiera. Będą nad tobą korony drzew... Posłyszysz, jak szeleszczą dostałe trawy w samotni twego ogrodu, gdy go nawiedza cichy wiatr i ciepły deszcz... — Chichocze Walgierz, śmieje się głucho:

— Posłyszę, jak szeleszczą...



— Straż cię w okowach powiesz na baszcie zamku. Z przeziorów między belkami i z widzierów dachowych ujrzysz głuche, zadumane bory po górach, święte buki po szczytach i szare daleko grzebienie skalnych osypisk. Spojrzysz we Wisłę kochaną, jak spomiędzy lasów, srebrnobiała, kręgiem, półkolem wypływa, jak się u skał falisto zatacza i cicho w puszczy ginie zielonej...

— Cóż ci mam dać za jej widok?

— Oddasz mi, władczyni swej, i Wiślimierzowi, panu swojemu, pokłon powinny. Gdy każemy, pójdziesz jak wierny sługa i jako włodarz w orszaku. Będziesz u stołu pańskiego obficie jadł i będziesz tęgie wino pił, ile wola...

Duma Walgierz głęboko. Chwieje się jego głowa tam i sam.

— Przysięgę złożysz na wieczny czas za siebie i za syna, gdybyś go miał z poddanki naszej.

A będziesz w poczcie sług jeden z najpierwszych. Przed Mściwem z puszczy staniesz i krok trzymać będziesz w orszaku. Ścisła Walgierz głowę swą żelazem oków. -Proporzec pański poniesiesz i miecz potrzymasz. Strzeżenie podasz wsiadającemu na koń. I zstąpi na cię łaska pańska. Niejeden dar cię spotka. Złożysz skarb z darów i z pracy swej, z łupów na wojnie uciulasz mienie. Puści ci wtedy pan osiedle w boru. Będziesz granicy jego strzegł na wzór Mściwa. Jam to dla ciebie uczyniła, ja, Cudna, którą kochałeś i jeszcze w skrytości kochasz.

Spojrzyj na mnie dawnymi oczyma, którem ongi miłowała. Walgierzu, Walgierzu!

Dla ciebie to uczyniłam, przez pamięć twojej miłości. Wypełnij wszystko, com rozkazała.

Czy spełnisz wszystko pod przysięgą? — Przytakuje Walgierz głową strzaskaną od nieszczęścia, a startą i zdeptaną od niedoli.

Mamroce, sepleni, śmieje się, jąka. Szlocha:

— O duszo moja, duszo moja... Spełnię wszystko, coś rozkazała. Wszystko spełnię pod przysięgą...

## Rozdział X

Przyszedł Mściw z puszczy dla odebrania od poddanego ślubu pokory. A gdy się zniżył i zagiał obcęgi pod spoidła śrub i gdy miał pierwsze rozłamać ogniwa, ujrzał, że oczy Walgierza nie widzą, a z gardła bucha szyderczy śmiech. Ciało leżało nieruchomo, wyciągnięte w żelazach, jak gdyby na miękkim łożu. A z warg się zrywał śmiech niegodziwy, śmiech bezsilny.

Zawołał Mściw:

— Wstawaj z barłogu.

— Nie wstanę, sługo!

— Pójdiesz ze mną w ogród zamkowy.

— Nie pójdę, sługo!

— Szalony, cóż zamierzasz?

— Jeszcze, sługo, nie przyszła godzina moja.

— Zgnijesz w barłogu!

— Jeszcze nie przyszła godzina twoja. Jeszczem się, widzisz, siłami straszliwymi nie podkopał pod samego siebie i jeszczem samego siebie z moich kamiennych ramion, z ramion nieżywych i bardzo zgarbionych, nie zwałił.

— Cóż myślisz czynić, obłąkany!

— Będę, sługo, płakał krwawymi łzami dopóty, aż łzy moje z martwego kamienia wykapią ducha wiecznego.

— A więc — przepadnij!

Cisnął Mściw na zuchwalca gniewny błysk oka i gniewnym znakiem ręki skazał go na zapomnienie.

Więc zapomnieli o nim na śmierć ludzie ziemi. Zapomniał o nim potężny pan — i Cudna żona.

Wzgardzili jego imieniem wygasłym włodarze, męże wojenni, czeladź, żołnierze.

Zapomniało o nim sumienie gminnego ludu i zapomniała skrzydlata pieśń rycerzy po ostrych zamkach — i zmowa nocna — i wieść szeptana w zaułkach wsi — podanie ślepe a głuche — i baśń daleka, baśń ostatnia, baśń wędrownica, kurzem zasuta dróg...

## Rozdział XI

Wlecze się długość nocy.

Trwa cisza. Świerszcz jeno, towarzysz jedyny przekłętej doli, niewidzialny świadek bezsennych nocy, skrzypieniem mierzy czas.

Płyną przez ciemność myśli leniwe, ogłuchłe, z wygnitymi oczami. Ponad jeziorem wiecznego rozczarowania wloką się długim orszakiem. Spływa z warg nadaremne westchnienie.

Toczy się jęk w dół bez dna.

Obmierzło już szyderstwo, wstręt budzą łyzy.

Ostatek wielebnego męstwa, ostatek pracy...

Kruszy się i sypie w proch kamień ducha.

A za kratami głucha noc.

A za kratami wzdycha wiatr.

Świsł— Poświsł do krat przyleciał.. Westchnął.. Przeszumiał..

— Świsł — Poświsł... — wzywa ku niemu Walgierz Udały... — Och, wietrze, wietrze!

...

Och, wietrze wiosenny, wonny!

Już na mnie przyszedł czas. Zanieś, wietrze swobodny, królowi polskiemu żegnanie moje.

Powiej mu w twarz rozgorzałą. Na skrzydła weź żegnanie moje i na stanicę rzuć... Niechaj zaszumie wielka chorągiew nad dumającą głową królową...

Słyszy Walgierz w nocnym milczeniu szelest kroku. Gniew nim pomiata, że mu ostatni pogwar duszy roztrąca zbir.

Patrzą w mrok z nienawiścią kocie więźnia źrenice, oczy skąpe i podejrzliwe. Badawcze ucho chwyta szept:

— Walgierzu...

Gnuśnie milczy niewolnik. Śmieje się w duszy z szeptu nocnego, czyjkolwiek jest.

— Rycerzu... — pozywa głos.

Milczy kajdaniarz. Przebiegła jego mądrość jak niewidzialny szpieg obchodzi wkoło szept, a opasuje go niemi obojętnego badania.

— Książę!

Ocknął się w piersiach szloch dawny— przedawny.

— Wodzu!

Omdlałe serce wzdycha w nocy:

— A choćbyś była złudzeniem ciemności, witaj, maro, co mię pozdrawiasz...

— Piękny!

— Ktoś jest?

— Poprzysiąż mi wiarę wieczną, miłość wieczną, a ja w zamian kuny twoje rozłamię.

Szeptane, zimne, przemądrzałe słowo:

— Rozerwij kuny, bym ci uwierzył.

— Dam ci w rękę twój własny miecz.

— Ktośkolwiek jest — daj koncerz!

— Poprzysiąż mi wiarę wieczną, miłość wieczną.

— Ktośkolwiek jest, poprzysięgam ci wiarę wieczną, jeno mię puść.

— Twarz moja jest potworna, a ciało krzywe.

— Gdybyś była potworna stokroć bardziej, niż jesteś, przysięgam ci wiarę wieczną, miłość wieczną — jeno mię puść.

— Jestem straszna i bardzo stara.

— Pokocham cię, jeno mię puść.

— Jam to jest Wiślimierzowa rodzona siostrzyca. Imię me Zdrada.

— Piękne jest imię twoje, kochanko Zdrado. Obejmę cię uściskiem — jeno mię puść.

— Jeśli mię weźmiesz za żonę, tym oto dłutem i obcęgami, które Mściw piastuje, odkręcę śruby, rozłamię ogniwa kuny.

— Żono ma wieczna, odkręc śruby zardzewiałe. Oto me ręce pragnące uścisku...

— Przysięgaj na miecz rycerski, na pawęż...

— Przysięgam na miecz rycerski, na pawęż i na pas, że cię na wieki poślubię, o Zdrado, jedyna, coś mnie w ciemnicy nie zapomniała...

Wtedy odemknie siostra Zdrada kluczem ze skarbca wykradzionym zamki klubów, a zardzewiałe mutry odkręci, spojenia zaklepane rozłamie.

Ręka Walgierza w przestworzu błądzi...

Popręg żelazny spod ramion spadł jak pas niciany. Z gardzieli kuna odeszła jak miękki kołnierz. Z nóg się zsuwają żelaza...

Namacał rycerz w ciemności kurczem miłosnym głowicę wielkiego miecza, co go ze skarbu wykradła kochanka Zdrada.

Na głowę wdziewa swój własny, olbrzymi szłom. Okrywa w nocy pośpieszną dłonią piersi blachami. Goleń opasze plechą. Wdział rękawice żelazne. Wstał z ziemi. Westchnął.

W barach się olbrzymich przeciągnął. Szepce ku niemu miłosne słowa kochanka. Pochwycił rycerz prawicą gardziel siostrzycy Wiślimierzowej, Zdrady.

Zdusił ją na śmierć, zanim krzyk wydała, zanim wydała dech. Rzucił targaną od kurczów śmiertelnych w swe legowisko, w łożę boleści wysiedziane w kamieniu — z chichotem twardym zwycięzcy.

Już stąd odejdzie!

Krok jego dźwięczy i trzaska, kiedy w milczeniu idzie, olbrzymi, przez mrok w łożnicę małżonki swojej.

Rozdarł kotarę.

Zerwał lampę ze ściany i w oczy śpiącym przyświeca.

Krzyk jego lwi:

— Ocknij się, Cudna, duszo moja! Porwą się śpiący. Szept białych warg... Dygocą bezsilne ręce. Patrzą w przybysza skostniałe oczy.

— Cóż byś powiedział, władco na Tyńcu, gdyby cię koniądz Walgierz ze snu twardego przyszedł budzić? Wrócił już Udały Walgierz z wyprawy dalekiej. Obszedł już kroki pracowitymi świat. Był daleko — och, daleko! Był głęboko — och, głęboko! Widział już oczyma własnymi wszystko, na własne uszy wszystko słyszał.

Wstań, bracie! -

Uniósł znad czoła ciężkie szłomu żelaza i straszne jamy oczu odsłonił.

Śmiech jego — ryk tygrysa.

Podźwignął miecz i od straszliwego zamachu rozdarł, rozszarpał drgające ciało.

Jak strzelenie piorunu rozlega się jego krzyk po wnętrzach zamku, leci w sale, krużganki.

Ciosy miecza budzą zdrajców na chwilę, by im śmierci błyskanie pokazać.

Pada przed nim gawiedź na twarz.

A inni rozewrą na ścieżaj drzwi, a inni cześć mu wyją, a inni za nim kroczą jako radosny hufiec poddanych.

Idzie Walgierz wielkimi kroki przed siebie.

Spadł aż do drzwi podziemia.

Wyrwał je z zawias.

Tam oto, w lochu mogilnym, brat Wydrzyoko gnije. Oczy jego jak próchno w ciemności świecą.

Rozerwał Walgierz mieczem więzy. Chwycił współbrata w ramiona.

Szepcą, szlochają...

Wstępują dwaj po stopniach zalanych krwią Idą w kruzganki zasłane trupami, w dziedzińce wiślańskiego zamczyska, w sienie, w bramy, przez mosty w świat...

## Rozdział XII

Na wzgórzu, skąd widać zgliszcza tynieckiego zamczyska, stał Walgierz Udały. Mocny, bojowy koń spienioną zuchwą gryzł wędzidło, a ziemię pod sobą kopytem niecierpliwie bił.

Wiatr wzdymał i szarpał zwisła grzywę rumaka i wielobarwne pióra rozwiewał bujnie na przyłbicy księżęcej. Tuż przy koniędzu siedział w siodle Wydrzyoko. Za nim orszak bojowników zatoczył półkole.

Milczą rycerze, szanują wodza dumanie głębokie.

Głęboko дума Walgierz patrząc w dymy skłębione, w słupy iskiei dalekie.

— Pójdziemy teraz, wciądzu — powiada Wydrzyoko — na nowy bój, na żywot nowy. Nowe w puszczy na wysokościach wyrąbiem toporem polany. Nowe osiedla założym. Nowe gniazda dla ludu gminnego. Nowe zamki strzeliste wzniesiemy ponad cypłami stromych skał.

— Tak, bracie, nowe zamki!

— Uderzymy w ziemię nieżywą, w ziemię jałową, w ziemię płoną ostrzem narzędzi z żelaza i dobędziemy z jej łona śpiew rozkochanych niewiast, gwar dzieci i wielki hymn mężów schylonych nad zagonami złotej pszenicy i żyta, co się srebrzy pod niebem. Od naszych czynów, wodzu, poczną się nowe dzieje! Z naszych ramion zstąpi na ziemię pokolenie potężne i piękne. A ono będzie twórcą pokoleń, których pochod nieskończony iść będzie w wieczność pod niebem świętej Pogody.

— Tak, bracie mój!

— A tyś to sprawił. Wielki zamach twojego miecza czcić będą w pieśni nigdy nie umierającej pokolenia szczęśliwe, kiedy się po pracy zejdą na polanach wiecowych. Jesteś wielki jako ta nieobeszła ziemia, wysoki jak Tatry — góry.

Cicho, cicho ku zgliszczom zaśmiał się Walgierz Udały. Jego ręka żelazna szarpnęła wodze konia. Miecz w strzemię trzasnął.

Zadumane oczy przebodły dymy i zduszone płomienie. Wyciągnął dłoń:

— Tam moja wielkość... — wyrzeczę spomiędzy głębokiego śmiechu. — Do słupa moja wielkość przykuta. Nowe zamki, jakoby gniazda orłowe, wydzwignę na szczyty gór, nowe sioła rozsądę po puszczy jak ule pszczoł, pszeniczne i żytnie ziarno rozsieję po stokach, gdzie rośnie jałowiec, po nizinach, kędy kwitną kaliny...

Lecz już wielkości nie zaznam.

Wielkość moja do słupa żelaznego przykuta, w tamtych się dymach ogniem przepala.

— Pójdziemy, wiciądzu, polskiego szukać króla!

— W jakiej też stronie, w którym też boru, z jakimi wrogi wojuje wielki król? Gdzie słyhać krzyk skrwawionych pułków, pieśń bojową, wielki wrzask trąb? Z której też strony nadleci echo?

Pójdziemy, bracie, w ciemną głuszę świętej góry i bogi krzykiem zwołamy.

Nad przyszłością pokoleń ich wieczną osadzimy stolicę. Tam to w kontynie wieszczowej, starej, pod cieniem buków, nadleci ku nam Poświst — wiatr. Nadleci ku nam z końca świata, echo przyniesie, kędy w lasach polski król...

Powiem królowi prawdę głęboką, prawdę, co się tam oto w ogniu pali.

Otworzę królowi oczy jasne... Pokażę królowi duszę kamienną...